

Dwie damy sceny

RYSZARD KOSIŃSKI

W tym samym czasie obie artystki przypominały się opinii publicznej. Irena Eichlerówna poprzez fakt otrzymania Nagrody m.st. Warszawy, Elżbieta Barszczewska, bo obchodziła jubileusz 45-lecia pracy aktorskiej. Piszę „przypomniały się”, gdyż mimo wszystkich odrębności artystycznych osobowości, łączy je ta sama powaga wobec powinności teatru, a zawód swój traktują nie jako powielanie ról, lecz jako odpowiedzialną służbę, której nie wolno nadużywać. To wiele w sytuacji, gdy środki masowego przekazu, z właściwą sobie siłą, kreują nierzadko primadonny jednego sezonu lub gwiazdy świecące sztucznym światłem.

Występują na scenie nieczęsto, w telewizji od wielkiego święta, dla filmu nie istnieją. Oczywiście podsuwa się w tym miejscu pytanie: ile w nich zostało jeszcze blasku, i ile ról w których mogłyby zagrać? Na pierwszą część tego pytania odpowiada najlepiej publiczność, która wypełnia widownie na każdym przedstawieniu Eichlerówny czy Barszczewskiej. Na drugi zaś człon wyżej postawionego pytanki, niech odpowiadają kierownicy artystyczni teatrów.

Są z jednego pokolenia, rozpoczęły pracę aktorską w tej samej, czwartej dekadzie naszego stulecia. Kształciły się i formowały swoje talenta pod rękami właściwie tych samych mistrzów sceny, ale jakże są różne. Łączy je właściwie tylko podobny rejestr ról wyjętych dla nich z wielkiego repertuaru dramaturgii światowej, rejestr jednak też właściwie różny — Barszczewska bowiem bliższa zawsze była rodzimym klasykom. Eichlerówna częściej chyba miała do czynienia z obcymi. No i jeszcze jedno wspólne — dar budzenia wzruszeń.

Te wzruszenia jednak wywołują odmiennymi zupełnie środkami, inną — powiedziałbym — filozofią kreacyjną. Barszczewska, jakby w sojuszu, w koegzystencji z widzami; Eichlerówna niczym w opozycji do publiczności, jakby chciała przypomnieć wyzwania Louis Jouveta, że publiczność też musi mieć talent. Barszczewska poetyczna w swym aktorstwie; jasna, czytelna, jak elementarny kanon sztuki grania. Eichlerówna — ze swą niekonwencjonalną ekspresją, ze swymi sławnymi zaśpiewami — budząca u nieprzygotowanego widza raczej rezerwę jeśli nie opór. I dopiero siłą swego oryginalnego talentu przełamująca ten opór i anektująca dla siebie zrozumienie i olśnienie publiczności.

I bardzo dobrze. Teatr, jak i wszystkie sztuki, może żyć i rozwijać się tylko w różnorodności. Widzowie zaś, którzy zawsze potrafią odróżnić prawdę od fałszu, weryfikują i akceptują oba, że tak powiem, aktorstwa. Eichlerówny i Barszczewskiej. Widząc w nich dwie wielkie damy naszej sceny, które znają, umieją i kochają swój zawód. To ulubienie zawodu to wielka

wartość w dobie lekkiego traktowania obowiązków. Przed mniej więcej dwudziestu laty, wspaniała postać polskiego teatru, Karol Frycz, tak mówił na swoim jubileuszu 80-lecia życia i 60-lecia pracy: „Odznaczenia, jakimi zaszczylił mnie rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, uważam za odznaczenia niestosowne i powyżej moich jakichkolwiek zasług. Zawód, jaki sobie od młodości wybrałem i w jakim pracowałem — dawał mi przede wszystkim przyjemność, rozkosz i zachwyty. To nagradzać — to naprawdę jest już marnotrawstwo”.

Myślę, że podobnie czują, i podobnie mogłyby powiedzieć obie aktorki, o których dziś piszemy. Pracę odbyły w teatrze wielką, w trudzie olbrzymim, ale chyba tylko takie życie może dać prawdziwą satysfakcję. Pamiętamy więc Eichlerównę, jako Fedrę w dramacie Racine'a, Agrypinę w „Brytaniku” tegoż Racine'a tytułową bohaterkę w „Profesji Pani Warren” Shawa jako Ruth w „Niemcach” Kruczkowskiego, w tytułowej roli w „Matce Courage” Brechta, jako Klitamnestrę w „Agamemnonie” Aischylosa... I tak dalej, i tak dalej. „Przeważnie gram te postacie, które chciałyby się znać osobiście. Stąd może uczucie szczególnej troski, jaką je otaczam” — powiedziała w wywiadzie dla „Życia Warszawy”.

Pamiętamy więc Barszczewską, jako tytułową „Lilę Wenedę”, Dianę w „Fantazym”, Norę w sztuce Ibsena o tym samym tytule, Salomeę w „Horsztyńskim”, Armelię w „Mazepie”, Angelikę w „Port Royal” Henri de Montherlanta i tak dalej i tak dalej. Aż po dzisiejszą Sarę Bernhardt, którą kreuje w sztuce Johna Murella na scenie teatru Kameralnego. Pisał o niej Adam Grzymała Siedlecki: „Sekretem talentu Barszczewskiej jest przepojenie postaci scenicznej taką prawdą i bezpośredniością, że nie podobna w niej wykryć żadnych tajemnic roboty aktorskiej”.

Ireny Eichlerówny dawno nie widziałem. Barszczewską na jej przedstawieniu jubileuszowym. Wyglądała, pisałem już o tym jak córka Sary Bernhardt. Myślę, że Eichlerówna w niegorszej jest formie, czego życzę widzom i sobie.